

## **KTO SKORZYSTAŁ MATERIALNIE NA TRAGEDII WĘGROWSKICH ŻYDÓW?**

Nie tak dawno Węgrów doczekał się pokaźnego reportażu na łamach Gazety Wyborczej. Artykuł wywalał kontrowersje i krytykę ze strony wielu mieszkańców miasta ze względu na tematykę relacji polsko żydowskich przed i podczas ostatniej wojny jak również obecny stosunek mieszkańców do tego niełatwego tematu.

Ktoś niezorientowany w tematyce węgrowskiej dowiedziałby się że społecznym bohaterem reportażu jest mieszkaniec Warszawy pan Maciej Konarzewski, który próbuje zainteresować władze miasta rocznicę likwidacji getta węgrowskiego, natrafia na mór obojętności wśród władz miejskich. Niechętni tej tematyce są, sądząc z informacji zamieszczonych w artykule, również mieszkańcy miasta, zwłaszcza starsze pokolenie. *Czemu, ach czemu?* - zapyta czytelnik, choć wywalony na dwie szpalty wyrywek odpowiedzi zdaje się z góry sugerować odpowiedź - *Ja z tymi Żydami mieszkać nie będę*. Usłużny autor reportażu redaktor Marcin Kącki, zaprosi go do podróży w przeszłość miasta, kiedy jeszcze był przedwojennym sztetl zamieszkałym przez społeczność żydowską. Przed wojną jeszcze tak najgorzej z relacjami nie było, ale przychodzi okupacja i zagłada Żydów. Autor przedstawia jednostki, które Żydów ratują, ale są ludzie którzy ...cóż nieładnie, garną się do rabowania zwłok i zapewne do nieruchomości pożydowskich, więc teraz „boją się że to stracą”. Czytelnik odkładając szpalte gazety może dojść do wniosku, że węgrowianie wzbogacili się materialnie na zagładzie żydowskich współobywateli, coś pewnie im po dziś dzień zostało, stąd ich niechęć, i do Żydów i wywlekania tematu na światło dzienne.

Jako lokalny historyk i osoba orientująca się temacie tych relacji odbyłem jedną telefoniczną rozmowę z redaktorem Kąckim, która ku mojemu zdumieniu stała się podstawą, do zaprezentowania moich wypowiedzi w a artykule. Czy moich? W przypadku dwóch, mam podstawę do zanegowania a i dowody w postaci korespondencji, że nie powinny się w ogóle znaleźć, jedna jako kompletnie nie związana z tematem, druga – jako diametralnie sprzeczna z tym co pisałem podczas korekty, a mimo to ją tam umieszczono.

Miałem nadzieję że sprawa znajdzie finał w postaci sprostowania jakie znajdzie się na łamach GW. Redakcja GW sprostowania mi odmówiła.

Wątek do polemiki z reportażem redaktora Kąckiego jest sporo, ale skoncentruję się na jednym, który jest mocno krzywdzący dla mieszkańców Węgrowa. W artykule przytacza

on opinię *Wielu, którzy skorzystali majątkowo na zagładzie Żydów, boi się że to stracą. To kolejny powód milczenia.*

W przeciwieństwie od tego co można by wnioskować z tych słów, uważam, że społeczność miasta, również wspomniane elementy kryminogenne, w bardzo niewielkim stopniu materialnie skorzystała (i ewentualnie korzysta po dziś dzień) na tragedii Żydów węgrowskich.

### **Hieny - ogół czy margines?**

Od elementów patologicznych zacznę, bo jako hieny są w artykule pokazane. W relacji Jerzego Tchórzewskiego są to osoby obdzierające zwłoki po egzekucji, w relacji okupacyjnego burmistrza Władysława Okulusa ludzie zgłaszający się z wozami, by dokonać podobnego procederu podczas transportu zwłok z miejsca egzekucji do masowego grobu na kirkucie.

Relacja Tchórzewskiego, jest cytowana bez zmian, ale przy relacji Okulusa już zaczynają się problemy. Po prostu pan redaktor pominął wszystkie stwierdzenia, które przemawiają na korzyść mieszkańców Węgrowska. Pisałem o tym szerzej w artykule: *O czym nie chciał napisać redaktor Kącki* opublikowanym na stronie internetowej przez Urząd Miasta, i tam odsyłam zainteresowanych tematem, proponuję mały skrót tego co we wspomnianym artykule się znalazło.

Kącki cytuje Okulusa który zwrócił uwagę na postawę społeczeństwa polskiego podczas zagłady. Wyróżnił on trzy grupy. Grupa pierwsza okazywała współczucie i pomoc, narażając swoje życie. Do drugiej grupy zaliczył „elementy faszyzujące, które choć nie współdziałały z wrogiem, wyrażały aprobatę i okazywały zadowolenie”. Do grupy trzeciej zaliczył tych, którzy współpracowali z Niemcami. W oryginale grupa trzecia to kilku strażaków którzy wyciągali Żydów z kryjówek. Kącki celowo dla potrzeb artykułu zamienił ich na hieny z wozami.

Zacytuję dosłownie słowa burmistrza a propos grupy pierwszej: *Grupa pierwsza, najliczniejsza, nie tylko okazywała Żydom współczucie, ale i pospieszyła im z pomocą, ukrywając ich i dostarczając żywność, choć groziło to śmiercią.*

Słowo „najliczniejsza” – w reportażu się nie pojawiło.

Okulus wspomina o wozakach którzy sami zgłosili się do transportu zwłok, licząc jego zdaniem na zyski z rabunku. Wspomina: *dla ludności żydowskiej była to zagłada biologiczna, dla ludności polskiej moralna.* Ten cytat w przeciwieństwie od wyżej

przytoczonego musiał się oczywiście w reportażu w całości znaleźć. Ale przy opisie wydarzenia zabrakło w nim z pozoru drobnej, choć bardzo istotnej informacji dotyczącej ilości zwłok ofiar do przewiezienia. Nie ma również symbolu (...) oznaczającego dokonanie skrótu w relacji, choć w innych fragmentach artykułu redaktor je umieszczał. Tu autor artykułu celowo wprowadza czytelnika w błąd, bo sugeruje że treść cytowanych wspomnień jest bez skrótów.

A było ich 40 i tyleż ciał do przetrząśnięcia kieszeni. Jak dużo potrzeba było wozów do przewiezienia takiej ilości zwłok, zwłaszcza gdy część z nich to małe dzieci? Pytałem się ludzi ze wsi mających doświadczenie w kwestii ładowności konnych wozów. Ich zdaniem wystarczyłyby dwa. Nawet przy założeniu że jest dziesięć zwłok na jeden wóz daje to tylko cztery wozy. Jedna osoba wiezie, druga, a przyjmijmy nawet że dwie przetrząsają zmarłych. Daje to w najbardziej „optymistycznej” dla Kąckiego wersji 16 osób, na blisko czterotysięczną ówczesną populację miasta. Tych ludzi dosięgła „zagłada moralna”. Było ich o 16 za dużo – ale nie stanowili pół procenta ogółu mieszkańców miasta.

Czy w tym celowym ominięciu nie chodziło o to, żeby czytelnik nabrał przekonania o większym niż w rzeczywistości udziale węgrowiaków w tym haniebnym procederze?

Podczas czytania artykułu zdziwiło mnie czemu redaktor Kącki nie wspomniał o ewidentnym łajdactwie kilku strażaków, a przy charakterystyce hien nie omówił opisanych także przez Okulusa „dentystów”, którzy obrabowywali zwłoki podczas zakopywania ich na kirkucie. No tak, Okulus napisał o „dentystach” *ochotnicy – miejscowe męty społeczne*, na końcu rękopisu jest zdanie: *Ogromna część ludności polskiej potępiła czyny „strażaków i „dentystów” a męty społeczne są w każdym narodzie*. Te zdania najwidoczniej nie pasowały panu redaktorowi do koncepcji reportażu.

Czy w przypadku typu hien, trzeba wojny, Niemców i Żydów? Kiedy w 1987 roku samolot IŁ 62 rozbił się w Lasach Kabackich, doszło do podobnych incydentów. Prawdopodobnie przypadki okradania zwłok miały miejsce przed przybyciem milicji i wojska, zanim zabezpieczono rejon katastrofy przed dostępem osób niepowołanych. Nie snułbym jednak na tej podstawie domniemań o fatalnym stanie moralności mieszkańców rejonu katastrofy. Jak to trafnie napisał Okulus: *szuje są wszędzie*.

Treść artykułu pięknie koresponduje z ostatnią książką Tomasza Grossa „Złote Żniwa”, w której autor rozpisuje się nad tym, jak to Polacy materialnie skorzystali na tragedii Żydów. Co Gross wymyślił, redaktor Kącki starał się na siłę udowodnić na przykładzie Węgrowska. Nie tak dawno na celowniku redaktorów GW był Mińsk Mazowiecki, potem

Kałużyn, gdzie pojawił się wątek pożydowskich gruntów, a za czas jakiś inne miasteczko doczeka się podobnej lustracji.

### **Co zagrabili lub zniszczyli Niemcy?**

Aby w pełni odpowiedzieć na pytanie zawarte w tytule artykułu, warto poruszyć istotną kwestię. Jakimi środkami materialnymi dysponowała ludność żydowska zgromadzona w getcie węgrowskim w momencie zagłady?

Jeszcze przed wojną znaczna część ludności żydowskiej była uboga, i podobnie jak jej wielu polskich sąsiadów musiała walczyć o każdy grosz. Po wkroczeniu Niemców do Węgrowa w murach getta znalazło się wielu uchodźców i przesiedleńców skierowanych do getta przez niemieckie władze okupacyjne z mniejszych miejscowości, ich dobytek ograniczał się do tego co ze sobą przynieśli, a raczej tego co pozwolono im ze sobą przynieść. Nawet miejscowi Żydzi po konfiskacie sklepów i warsztatów, aby przetrwać upłyniali oszczędności i sprzedawali swój dobytek w zamian za żywność, lekarstwa, ciepłą odzież. Urzędnicy niemieccy i żandarmi wymuszali na społeczności żydowskiej płacenie okupów z korzyścią dla III Rzeszy i siebie. Władysław Okulus opisuje jak niemieccy urzędnicy którzy biedni przyjechali do Węgrowa, zaczęli paradować w skórzanych płaszczach, nowych butach, a nawet znacząco przybierać na wadze. W grudniu 1941 r. przeprowadzono rekwizycję kozuchów i okryć futrzanych, dla marznących pod Moskwą Wehrmachtowców. Jak wspomina ocalały z zagłady Rubin Bird, przed likwidacją getta do Węgrowa codziennie przyjeżdżał szef Treblinka i dawał przewodniczącemu gminy żydowskiej Mordechajowi Zejmanowi zamówienie na to, co potrzebował, np. na futra, skórzane buty, płaszcze skórzane, biżuterię i na inne rzeczy. Zejman dostarczał to wszystko Niemcowi, a za to szef z Treblinka złożył mu kłamliwą obietnicę, że nie będzie ruszał Żydów w Węgrowie. Władysław Okulus pisze, że zagłada zaczęła się *po wyciągnięciu od Żydów wszystkiego co się dało*, co jest dobitną odpowiedzią na zadane wcześniej pytanie.

Ktoś mógłby przytomnie powiedzieć, że przecież po Żydach pozostał najcenniejszy majątek w postaci sklepów, domów i placów. Tego Niemcy nie mogli wywieźć do Reichu, więc siłą rzeczy jacyś węgrowiaczy stali się beneficjentami żydowskiej tragedii.

Wyruszymy więc na poszukiwanie tego co pozostało. Pierwsze kroki skierować należy w kierunku dzielnicy żydowskiej, która rozciągała się między w obszarze określonym ulicą Żeromskiego do rzeki Liwiec, a w poprzek ulicą Piłsudskiego.

Zachowały się dwa przedwojenne zdjęcia tej dzielnicy, jedno od strony Liwca z wyrastającym ponad drewniane domy białym budynkiem bożnicy, drugie, gdzieś w środku, blisko niej. Dzielnica nie wyglądała zbyt okazale, gęsta drewniana zabudowa, nieliczne chałupiny jednopiętrowe. Ocalała tylko na zdjęciach.

Największym mitem, jaki jest związany ze sprawą mienia pożydowskiego, jest przekonanie, że opuszczona posiadłość, można było, po prostu sobie zająć, w myśl zasady, kto pierwszy ten lepszy. Gdyby tak było dzielnica przetrwałaby choćby w części okupację.

Władysław Okulus wspominał, że miasto miało problemy lokalowe, ze względu na zajęcie przez Niemców niektórych polskich domów i dużą liczbę uchodźców z terenów włączonych do Rzeszy. Jak sam przyznał, naiwnie liczył, że puste pożydowskie domy mogły rozwiązać ten problem. Niemcy, którzy eksploatowali ludność polską, przymusowymi kontyngentami, darmowym wykorzystaniem siły roboczej do swoich potrzeb, wywózkami na roboty do Niemiec, nie przeistoczyli się w oka mgnienia w dobrego wujka rozdającego prezenty. Zapadła decyzja całkowitej likwidacji dzielnicy żydowskiej, bez oglądania się na problemy lokalowe Polaków. A i z samej likwidacji okupant starał się wyciągnąć maksymalne korzyści.

Po likwidacji getta wydano zarządzenie, w którym grożono taką karą za penetrowanie opuszczonych żydowskich domów, mimo to dochodziło do przeszukiwania domów przez Polaków którzy mieszkali w obrębie dawnego getta. Władysław Okulus wspomina, że do tragedii doszło, kiedy rozeszła się fałszywa pogłoska, że burmistrz dał zezwolenie na przejście zawartości żydowskich mieszkań. Szybko pojawili się liczni amatorzy, jak to określił burmistrz *lacha czy grata pożydowskiego*, reakcja Niemców była natychmiastowa, zaczęli strzelać i kilka osób zabili. Zbierane raz kolejny z bruku dawnego getta, ciała zastrzelonych, tym razem polskie – były krwawym dowodem niepodzielnego prawa Niemców do dysponowania tym, co po Żydach zostało, choćby był to łach czy grata.

Co się dało wywożono do Niemiec. Zorganizowano też niemieckie przedsiębiorstwo, które zajęło się gromadzeniem i wyprzedażą majątku Żydów, którego nie opłacało się Niemcom wywieźć. W synagodze urządzono magazyn zrabowanego mienia. Tu również dokonywano jego wyprzedaży *po bardzo przystępnych cenach*.

Sprzedawano też drewno i cegłę z domów przeznaczonych do rozbiórki. Najwyraźniej Niemcom zależało na zatarciu wszelkich śladów wielowiekowej osobnej żydowskiej dzielnicy w mieście. Udało im się to skutecznie. Jedyne ocalałym pożydowskim budynkiem na tym terenie jest dawne kino Kongres, obecnie mieszczące prywatną firmę

## **To co ocalało.**

Nie załamujmy rąk i ruszajmy dzielnicę aryjską. Okazuje się, że były tam usytuowane pojedyncze żydowskie domy które szczęśliwie ominęła pożoga wojenna.

Jaki los spotkał po zagładzie Żydów? Ocalały, Niemcy ich wywieźć nie mogli, więc pewnie ktoś z węgrowskich je zajął i sobie w nich zamieszkał.

W tego typu myślenia gdzieś pokutuje chyba obraz ze filmu *Sami Swoi*. Pawlak widzi z pociągu krowinę Kargula, ewakuuje z wagonu swoją rodzinę, zajmuje sąsiadująca obok Kargulowej chałupę, by za chwile toczyć boje o kota. Było to możliwe w powojennej rzeczywistości na ponemieckich Ziemiach Odzyskanych, zajmowało się opuszczony dom, a później władza najczęściej sankcjonowała prawnie fakt jego przejęcia. W okupowanym Węgrowie było to absolutnie niemożliwe.

Znam dość dobrze dzieje jednego z nich, stał przez długie lata przy ulicy Kościuszki a jego żydowskim właścicielem był Mosze Mendelbaum. Po likwidacji getta zamieszkała w nim moja rodzina.

Z rodzinnych przekazów wiem, że dziadek znający język niemiecki wybrał się do władz niemieckich prośbą o wydzierżawienie jakiegoś kawałka ziemi pod ogród. Przed wojną dzierżawił pole pod uprawy ogrodnicze i pieczołowicie zbierał pieniądze na kupno własnego kawałka ziemi. Przyszedł 1939 rok i pieniądze zdeponowane w banku przepadły, a z nimi szansa na własne gospodarstwo.

Niemcy dali mu przydział na dom z ogrodem. O sugerowaniu Niemcom, jakiegoś upatrzonego domu czy gruntu nawet mowy nie było. Dostawało się to łaskawie byli skłonni przydzielić.

W rodzinnych papierach zachował się akt dzierżawy tego domu wydany w grudniu 1942 roku wydany przez Schreibera Garanda z ramienia Komisarzycznego Zarządu Zabezpieczonych Nieruchomości w Węgrowie.

Data 4 grudnia jest o tyle ważna, że było to dwa miesiące po likwidacji getta, gdy większość żydowskich mieszkańców miasta została wymordowana w Treblince bądź rozstrzelana na miejscu. Dom stał pusty przez kilkanaście miesięcy od momentu wyrzucenia jego mieszkańców w obręb getta, Niemcy lub jakiś szabrownik zrabował wcześniej meble, nieuprawiany ogród zarósł chwastami. Nik się nie pokusił, by w nim zamieszkać.

Było to logiczne, niemiecka decyzja o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej” zapadła dopiero podczas konferencji w Wannsee w styczniu 1942 roku i dopiero wtedy rozpętało się dla Żydów prawdziwe piekło, którego ani Żydzi ani Polacy się wcześniej nie

spodziewali. Do tego czasu można było mieć nadzieję, że Żydzi przetrwają w gettach aż do klęski Niemców, a potem powrócą do swoich domów. Polskiego „dzikiego lokatora” o ile nie dostałby kuli od Niemców, po wojnie czekałaby zgodna z prawem eksmisja na rzecz powracającego z getta żydowskiego właściciela.

Już sama nazwa instytucji Komisaryczny Zarząd Zabezpieczonych Nieruchomości w Węgrowie wiele wyjaśnia. Niemcy położyli swoją łapę na żydowskich nieruchomościach i „zabezpieczyli” je to w typowo niemiecki pedantyczny sposób. Być może ktoś z Polaków mieszkających się w żydowskiej dzielnicy dostał od Niemców zamiennik za zniszczoną podczas równania z ziemią całej dzielnicy chałupę ale reszta szła w dzierżawę.

Umowa była tylko na rok, z prawem wypowiedzenia umowy przez obie strony i automatycznie przedłużana na rok następny. Wszelkie przebudowy oraz zmiany dokonywane mogły być tylko za zgodą K.Z.Z.N w Węgrowie, dziadek jako lokator był zobowiązany do utrzymania porządku tak przed domem jak i na podwórzu. Miesięczny czynsz wynosił 40 zł. Sam fakt że jej treść znalazła się na firmowym druczku, w którym tylko uzupełniano dane osobowe, datę i cenę dzierżawy, świadczy o tym, że każdy węgrowski dzierżawca otrzymywał ją na podobnych zasadach.

W późniejszym okresie specjalna komisja dokonała profesjonalnego oszacowania dzierżawy, sporządzono szczegółowy opis w języku niemieckim i mapkę sytuacyjną.

Nie wykluczam, że Niemcy, którzy właśnie w tym czasie w ramach realizacji Generalnego Planu Wschodniego zaczęli wysiedlać ludność Zamojszczyzny i tworzyć pas osadnictwa niemieckiego, przygotowywali się do podobnych wysiedleń w naszym rejonie. To by tłumaczyło bezsensowne z ekonomicznego punktu widzenia zniszczenie żydowskiej dzielnicy, bo przecież bożnicę można by wzorem sowieckim zamienić w magazyn, a i zarabiać na dzierżawionych Polakom domach. Nowe niemieckie miasto Wengrow jako *Judenfrei* nie miało prawa mieć najmniejszych rozpoznawalnych śladów po wielowiekowej obecności Żydów. Ocalałe w części aryjskiej domy miały doczekać w dobrym stanie na niemieckich gospodarzy. Z chwilą ich pojawienia się, węgrowskich Polaków, podobnie jak wcześniej Żydów popędzono by na stację kolejową w Sokołowie Podlaskim, być może z równie tragicznym finałem.

Na szczęście historia była dla nas wszystkich łaskawsza niż dla Żydów, choć po wyzwoleniu łapę na żydowskich nieruchomościach szybko położyła władza ludowa, przejmując rolę najemcy. Część domu zaludniono dokwaterowanymi lokatorami, o wykupie nie było nawet mowy. Biedny dziadek, ciężko pracując desperacko zbierał pieniądze, na zakup własnego gospodarstwa, uprzedzony do banków po stracie wszystkich oszczędności we

wrześniu 1939 roku, trzymał je w przysłowiowej skarpecie. Na początku listopada 1950 miał sfinalizować transakcję kupna wymarzonego gospodarstwa, 30 października komuniści wprowadzili wymianę pieniądza i większość dziadkowej gotówki nadawała się na podpałkę. Własnego kawałka ziemi nie doczekał się nigdy. Nie sądzę, aby dzierzawiona żydowska chałupa zrekompensowała mu dwukrotne ograbienie go z owoców ciężkiej pracy i marzeń o własnym domu i gospodarstwie. Na trzecią próbę zabrakło czasu, sił i zdrowia, dziadek zmarł sześć lat później w wieku zaledwie 44 lat.

Los z konieczności znów związał naszą rodzinę na następne dziesiątki lat z domem Mendelbaumów, dom nigdy doczekał się własnej wody i kanalizacji i z każdym rokiem nadgryzał go ząb czasu aż do chwili gdy przeznaczono go na wyburzenie. Obliczyłem moja rodzina łącznie przesiedziała w nim 60 lat, ani przez sekundę nie będąc jego prawnymi właścicielami, W przypadku mienia żydowskiego nie obowiązywała zasada zasiedzenia w dobrej wierze to i tą drogą nie można było uzyskać praw własności.

Taki sam los spotkał inne żydowskie domy przejęte najpierw przez Niemców, potem przez komunę – zmieniały się z dekady na dekadę w komunalne rudery, by na koniec paść ofiarą ekip rozbiórkowych. Mam nadzieję że ten los będzie oszczędzony domowi rabina Morgensterna, trzyma się nieźle, ale gruntowny remont by mu się przydał. Leżący w centrum miasta dom byłby po zagładzie Żydów łakomym kąskiem dla wielu, skoro przez całe powojenne dekady pozostawał mieniem komunalnym, potwierdza to tylko fakt, że najpierw Niemcy, a potem władza ludowa starały się utrzymać żydowskie mienie w swoich rękach. Podobnie było z kilkoma żydowskimi sklepikami czy niewielkimi zakładami usługowymi, które ocalały w domach wokół rynku. Władze komunistyczne szybko przystąpiły do walki z prywatną przedsiębiorczością w ramach osławionej Minclowskiej „bitwy o handel”, co przypieczętowało los dawnego sklepu Mendela Hollanda, Guzmana, młynu Kleina czy firm Szatensztejna.

Jest możliwe że jakiejś rodzinie udało się szczęśliwie wykupić od władz jakiś kawałek gruntu czy dom, ale o darmowym zawłaszczeniu nie ma mowy.

## **Posłowie**

Z szelestem pożółkłych rodzinnych papierów i rzetelnie przeczytanych wojennych wspomnień upada mit o dzikim zawłaszczaniu żydowskich nieruchomości przez węgrowskich tratujących się w wzajemnej walce o darmowe chaty, sklepy czy place. Nikt milionerem nie został, grupka amoralnych lumpów miała przez czas jakiś więcej na



wódeczkę, ktoś kupił pożydowski stół sprzedawany w synagodze, ktoś zrobił sobie obórkę z cegły z jej późniejszej rozbiórki, a kilka osób przeplaciło życiem chęć wzbogacenia się na pożydowskim mieniu. Co tylko się dało i wszystko co wartościowe zrabowali Niemcy a nieruchomości po wojnie przejęła komuna. Nie ma węgrowskich fortun wyrosłych na tragedii holokaustu. Potencjalna reprivatyzacja pożydowskich gruntów i domów jest problemem władz miasta, a nie indywidualnych obywateli Węgrowa, którzy z tego powodu sny mają spokojne. Mur milczenia, który miałby ukrywać zawłaszczenie dóbr po Żydach jest mitem.

Nie chodzę do magła, ale być może on jest miejscem mnożenia się pogłosek o tym, że ktoś konkretny się na Żydach wzbogacił. Z praktyki życiowej mogę się domyślać, że o nieuczciwie zdobytych dobrach, nie tylko pożydowskich, informują wszem i wobec najczęściej sąsiedzi podejrzanego, niezbyt życzliwie doń ustosunkowani. Tyle w tym konkretnie, co w znanych mi z dzieciństwa opowieściach o zakonnicach porywających dzieci do czarnej wołgi.

Potencjalnie rozczarowanym moim bezowocnym poszukiwaniem tych: *wielu, którzy skorzystali majątkowo na zagładzie Żydów*, redaktorom różnych tzw. opiniotwórczych gazet mam na pocieszenie historię, w której pobłyskuje żydowskie złoto. Kiedy byłem dzieckiem, miasto obiegła nowina, że robotnicy rozbierający stojącą gdzieś na uboczu pożydowską chałupinę znaleźli złoty skarb. Stugębna plotka mnożyła jego wartość do sum niewyobrażalnych. Rzeczywistość zredukowała go do pięciu carskich złotych pięciorubłówek tzw. „świnek”. Obecna wartość owego skarbu to ok. 2000 złotych. A to się ktoś nachapał.

Tyle i tylko tyle dla pana redaktorze Kącki. Naprawdę godne uwagi pożydowskie fortuny mogły się uchować w rodzinach Gillerów i Mullerów, potomków żandarmów niemieckich aktywnie zaangażowanych w eksterminację węgrowskich Żydów. Nikt ich po wojnie za popełnione zbrodnie nie ścigał, mogli zatem dożyć późnej starości spokojnie i dostatnio *po wyciągnięciu od Żydów wszystkiego co się dało*. Zachęcam do równie wytrwałych poszukiwań jak w Węgrowie, a z pewnością znajdzie Pan coś o wiele bardziej cennego niż *pożydowski lach czy grat*. Zapewne jeszcze żyje syn jednego z niemieckich żandarmów, który mundurze Hitlerjugend pojawił się podczas likwidacji getta z wizytą u tatusia i za jego zgoda z upodobaniem przez kilka dni mordował tych Żydów, którzy przetrwali w ukryciu zbiorową wywózkę do Treblinki. Warto go zapytać o naznaczone piętnem przelania niewinnej krwi wspomnienia z dzieciństwa.

Mam nadzieję, że węgrowiacy zwłaszcza ci starsi, pamiętający prawdę o opisywanych czasach potwierdzą a może i wzbogacą naszą wiedzę ponad to co odnalazłem dla potrzeb tego artykułu we wspomnieniach i dokumentach. Trzeba ją gromadzić i rejestrować. Doczekaliśmy

bowiem czasów, gdy tylko ona jest skutecznym orężem przeciw medialnym nagonkom, podczas których w oparciu o selektywnie dobrane fakty i opinie tworzy się zafałszowany obraz przeszłości i terażniejszości a za grzechy zdeprawowanych i jednoznacznie potępionych jednostek obarcza się aluzyjną współodpowiedzialnością tych, którzy w czasach wojny potrafili zachować zwykłą, ludzką przyzwoitość i nie sięgać łączywie po czyjeś dobro.

Pochodzący z Węgrowa i uhonorowany pomnikiem w naszym mieście Żyd Angel Rosenblat napisał:

*Szanuję politykę, politykierstwo mnie brzydzi. Oburza mnie, gdy widzę jak się ją prostytuuje używając jej nie dla dobra społeczeństwa, ale dla drobnych, krótkotrwałych interesów.*

Może to zdanie powinno być dobrze spożytkowanym pożydowskim dobrem, nie tylko w Węgrowie, w dzisiejszych czasach nabrało większej wartości niż *pożydowski lach czy grat*, z którego na szpaltach GW zostaliśmy skrupulatnie rozliczeni.